

STRYJ LEON I INNI

Maciej Jońca: Pani Profesor, bardzo się cieszę i jestem wdzięczny, że zgodziła się Pani na tę rozmowę.

Anna Komornicka: Chwilę możemy pogwarzyć. Niezbyt dobrze się czuję, więc to wszystko może być odrobinę chaotyczne, ale pan sobie to już jakoś poukłada. Ja już część powiedziałam wspominając o Janie Parandowskim na łamach „Meandra”¹.

M. J.: Właśnie ten trop pozwolił mi dotrzeć do Pani Profesor.

A. K.: Wspomniany wyżej wątek można rozszerzyć. Otóż Jan Parandowski opowiedział mi, że kiedyś rozmawiał ze swoim kolegą, również jak on maturzystą, gdy nagle na ulicy pojawił się Leon Piniński (Parandowski opisał tę scenę w „Zegarze słonecznym”²). Stryj szedł do siebie, a oni zamiast być w szkole, poszli „na labę”. Kiedy powitali go słowami: – Witamy ekscelencję! – on zatrzymał się i powiedział:

– Rozumiem, młodość bardzo potrzebuje gimnastyki na świeżym powietrzu, tylko trochę dziwię się, że wam nie tęskno za szkołą. Pewnie na obronę usłyszę jakiś argument niedojrzały i pospolity, na przykład, że wybuchła jakaś epidemia i dziś wszystkie lekcje zostały odwołane. A przecież wy sami, kawalerowie, byście w to nie uwierzyli, więc i mnie nie próbujcie przekonywać. Mam jednak nadzieję, że kiedyś zatęsknicie za nauką i szkołą. Cieszę się ze spotkania, choć wolałbym w innych okolicznościach. Żegnam.

Uchylił kapelusika i poszedł.

M. J.: Pamięta Pani Profesor pałacyk przy ulicy Matejki 4 we Lwowie?

A. K.: Oczywiście! Miejsce zamieszkania stryja Leona nazywaliśmy „muzeum”. To nie był typowy dom, ale też i nie pałac; raczej większa willa, ładna rezydencja z małym ogródkiem. Najstarsze, co pamiętam z tego domu: w dolnym salonie, na pierwszym piętrze były bardzo wysokie sufity. Okna wychodziły na front domu, a inne na bok, otwierając widok na staw. Okna miały drewniane zasłony, takie rolety, powiedziałabym. Były one w całości rozsuwane i zasuwane. Na jednej z nich mali chłopcy Pinińscy byli mierzeni przez matkę czy ojca, a następnie zapisywano na niej, ile kto ma centymetrów wzrostu. Pamiętam znaczek dotyczący Leona, który wówczas mógł mieć cztery lub pięć lat. Napis głosił „Leońcio”. Zawsze nas to wzruszało, że staruszek, stryj Leon, na rolecie funkcjonował jako Leońcio.

¹ A. M. Komornicka, *Wspomnienie o Janie Parandowskim*, Meander 68, 2013, s. 211–218.

² Jan Parandowski, *Ławki*, [w:] id., *Zegar słoneczny*, [w:] id., *Dzieła wybrane*, t. II, Warszawa 1957, s. 718. Por. Komornicka, op. cit., s. 214.



Jacek Malczewski, portret Leona Pinińskiego, 1906 r. Zbiory Muzeum na Wawelu
(źródło: <http://www.babica.czudec.pl/>)

M. J.: Co można powiedzieć o rodzinie Leona Pinińskiego?

A. K.: Po kądzieli wywodził się z Nikorowiczów. Mogłabym o nich sporo powiedzieć, gdyż zawsze z dumą podkreślam, że płynie we mnie kropla krwi ormiańskiej. Nikorowicze byli polskimi Ormianami; bardzo patriotyczna rodzina. Zachowałam trochę rodzinnych pamiątek. Mam fotografie ich portretów, między innymi Leonarda (ojca Leona). Prezentuje się w stroju polskim, ale kontusz ma kolor czarny, gdyż było to po powstaniu styczniowym. Drugi portret ukazuje go na koniu (data: 1846, namalowany przez Juliusza Kossaka). Dysponuję fotografiami portretów samego stryja Leona, który – zdaje się – pod tym względem był trochę próżny. Dawał się chętnie portretować. Malowali go między innymi Jacek Malczewski, Leon Wyczółkowski, Tadeusz Ajdukiewicz... Jestem w posiadaniu również portretów matki Leona, Julii z Nikorowiczów. Pokazana w niesamowitych sukniach balowych. Wygląda jak prawdziwa matrona. Nie ma się co dziwić, matka czterech synów. Szalenie „nabuzowana”, w ogromnym trenem koło nóg, w przepięknej sukni. Mam też kilka kartek przedstawiających dom na ulicy Matejki 4. Jedna pokazuje dom na zewnątrz, a kilka wewnątrz „muzeum”, w którym tak bardzo trzeba było uważać, aby czegoś przypadkowo nie strącić³.

M. J.: Właśnie! Przecież Pani Profesor pamięta tę wspaniałą kolekcję sztuki.

A. K.: Pamiętam, choć oczywiście nie wliczyłamby panu teraz wszystkich eksponatów.

³ Zob. Komornicka, op. cit., s. 214 (portret Pinińskiego pędzla Kazimierza Pochwalskiego) i 216 (fotografie domu Pinińskiego).

M. J.: Trzeba było chodzić na paluszkach?

A. K.: No tak! W ogóle trzeba było bardzo uważać. Niemniej stryj był szalenie miły. Wraz z matką dwa, trzy razy do roku przyjeżdżaliśmy do Lwowa w sprawach praktycznych (dentysta, okulista itp.) lub po to, by odwiedzić różne stare ciotki. Te odwiedziny stanowiły dla nas straszną mękę. Brałam w nich udział ja i mój młodszy brat Staś (pozostałe rodzeństwo było jeszcze zbyt małe). Katorga. Przychodziliśmy, a tu ciotki wiekowe, porozkładane na jakichś fotelach czy wręcz w łóżku na poduchach i się zaczynało: – Zrób trick! – Powiedz wierszyk! – Zaśpiewaj piosenkę!... – i najgorsze ze wszystkich: – Przybliź się tu do mnie.

Jeszcze dziś widzę (i wtedy myślę z przerażeniem o sobie...) wielkie twarze, z lekko wylupiastymi oczyma, które ujmują nasze głowy w dłonie i z egzaltacją oświadczają: – Ach, wykapany Władek! – albo: – Oczy to masz jak Lusią!

Przyjemnie było u cioci Klemensowej Dzieduszyckiej (jej mąż był bratem rodzonym mojej babki), która mieszkała na Badenich i którą bardzo lubił mój tatuś. Drugim zaś przyjaznym miejscem był dom stryja Leona. Tam bowiem, poza tym, że trzeba było uważać na antyki, niczym nie musiałam się popisywać. Kiedy pytałśmy o coś, stryj chętnie opowiadał. Snuł różne historie o swoich podróżach czy o dziełach sztuki, które posiadał. Ja już niewiele z tego pamiętam, ale wiem, że nawet dla małych dzieci było to szalenie ciekawe. A o żonie stryja Leona, cioci Maryni, pan wie?

M. J.: Z pewnością mało.

A. K.: Ona była z domu Mniszchówna...

M. J.: Aha, to przepraszam – nic nie wiem.

A. K.: Właśnie. On był już starszym człowiekiem, kiedy strasznie się zakochał w cioci Maryni. A to była Maria, ostatnia z rodu Mniszchów – tych od awantury z Dymitrem Samozwańcem. Kiedy się pobrali, ona była wdową (*primo voto* Chorochowa). Oboje znajdowali się więc w wieku dojrzałym, kiedy stanęli na ślubnym kobiercu. A niedługo potem, w roku 1919, odbył się ślub moich rodziców. Przyjęcie wydano właśnie w willi stryja Leona. Ciocia Marynia i stryj wszystko przygotowali. Było skromnie – wiadomo, wojna. Mój ojciec wystąpił w mundurze rotmistrza, a matka moja w białej sukni, w wianku i z welonikiem. Wśród gości znalazła się Irena Martyna Lamezan-Salins, która wyszła najpierw za Leosia Pinińskiego, brata stryja Leona i mojego dziadka, a jej drugi mąż, generał Robert Lamezan-Salins pochodził co prawda z francusko-włoskiej rodziny, ale był polskim generałem i szczerym patriotą. Świetnie naturalnie mówił po polsku. Mieli jedyną córkę, Renusię, Irenę Lamezan, która wyszła następnie za Tadzia Bora-Komorowskiego.

M. J.: Ależ koligacje!

A. K.: W istocie. Ze stryjem Leonem jestem podwójnie spokrewniona: przez siostrę mego ojca – Irenę, matkę Renusi Komorowskiej i przez mego ojca, Wolańskiego, który był ożeniony z Pinińską. To bardzo skomplikowane. Mój mąż Julek bardzo lubił w „Ikacu”⁴ rubryki „Rozkosze łamania głowy”. Raz wygrał głów-

⁴ „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, pierwszy dziennik ogólnopolski, wydawano w Krakowie w latach 1910–1939.

nią nagrodę, bo rozwiązał wszystkie łamigłówki wymyślone przez emerytowaną nauczycielkę matematyki. Gratulowała mu serdecznie, a następnie poprosiła, by sam spróbował napisać taki rebus. On rozpiisał więc dosłownie pokrewieństwo Pinińskich, Wolańskich i Lamezanów, i Dzieduszyckich. Na to redaktor naczelny wydawnictwa uznał, że jest to zbyt mało prawdopodobne. A to był autentyk!

M. J.: Muszę przyznać, że „jakość” nazwisk, które pojawiły się w opowieści Pani Profesor, przyprawia o lekki zawrót głowy.

A. K.: Jestem szczególnie dumna z Nikoforowiczów, gdyż mieli cudowny zmysł humoru.

M. J.: Leon Piniński też?

A. K.: Tak, ale... specyficzny. Kiedyś odwiedziłam z mamusią stryja. Lubiłam te wizyty, bo choć nie były długie (stryj Leon był zawsze bardzo zapracowany), to zawsze przebiegały w serdecznej atmosferze. Miałam pewnie ze dwanaście lat, bo uczęszczałam już do gimnazjum. W domu stryjostwa na powitanie usłyszałam: – Dzień dobry, Andziu. – Nazywano mnie tam Andzią, czego nie cierpiałam. Mama chciała jakoś załagodzić, więc powiedziała: – Stryju, teraz, kiedy Andzia przeszła do wyższych klas, nazywamy ją Andą, a nie Andzią. – Na co stryj, popatrzwszy na mnie filuternie, odparował: – Andą? A dlaczego nie Kordyliera? – Uznałam to za dowcip bardzo wątpliwego gatunku. Byłam wręcz wściekła, ale uśmiechnęłam się i spróbowałam zmienić temat. A zna pan naszą rodziną pół legendę, pół prawdę?

M. J.: Nie wydaje mi się...

A. K.: Kiedy stryj Leon ciężko zachorował, moja matka opiekowała się nim na zmianę z panią Karłą Lanckorońską. Karla (a właściwie Karolina) wielbiła Leona Pinińskiego i uważała go za swego mistrza. A z kolei stryj Leon był przyjacielem jej ojca. Ten sentyment pozostał w niej do końca. Kiedy odwiedziłam ją w Rzymie, a ona była już staruszczką, powiedziała: – Kiedy słyszę nazwisko Piniński, robi mi się gorąco na sercu. – No więc kiedy stryj Leon tuż przed śmiercią ciężko zachorował, a był to rok 1938, wtedy moja mama natychmiast pojechała do Lwowa, zabrawszy ze sobą z piwnicy stuletni chyba tokaj. Myślała, że być może chory będzie miał ochotę kropelkę się napić. Na zmianę z Karłą nocowały w gościnnym pokoju, by być blisko niego. Na miejscu dyżurowała oczywiście dzień i noc pielęgniarka, ale stryj nie cierpiał w domu obcych ludzi. Wzywano ją więc tylko w sytuacjach najwyższej konieczności. Na widok tokaju stryj Leon tylko się uśmiechnął, a propozycję mojej mamy: – Dam stryjowi kropelkę – zbył słowami: – Nie, nie. Niech to będzie na zaręczyny naszej Andzi. Zachowajcie go. Ja już nie mam ochoty.

W nocy poprzedzającej jego śmierć Karla i moja mama nagle usłyszały, że ktoś (naturalnie stryj!) gra marsz żałobny Beethovena. Kilka taktów. Nie lubił Chopinowskiego marsza żałobnego, bardzo nie lubił. Uwielbiał za to Beethovena. A rano już nie żył. Rankiem również znaleziono przy fortepianie otwarte nuty. Musiał więc wstać z łóżka i w ten sposób się pożegnał.

M. J.: Jaki był profesor Piniński jako osoba?

A. K.: Był bezpośredni. Lubił słuchać. Starał się nas jakoś zaciekawić. Być może stąd, że tyle razy dawał się portretować i fotografować, przypuszczam, że jakąś

tam próżność miał. Nie wiem, czy po Ormianach odziedziczył talent do robienia interesów. Ja z pewnością nie. W czasie wojny próbowałam wyrabiać mydło czy sprzedawać jakieś rzeczy. Zawsze plajta. Mam antytalent do wszelkich biznesów, które nie są ciężką pracą. Bez pracy nigdy nic mi się nie udało. A oni, jako Ormianie, prowadzili sprawy majątkowe i u Radziwiłłów, i u Sapiehów, i doskonale sobie radzili. Mama opowiadała mi nieraz, że ciocia Marynia, która umarła, kiedy ja miałam dwa lata, czasami skarżyła się na męża. Twierdziła, że pod pewnym względem stryj jest niemożliwy. Oni szalenie się kochali i on był dla niej bardzo dobry, ale sam dla siebie bardzo niewymagający (oczywiście miał odpowiednią garderobę jako były namiestnik i profesor), dla domu był wręcz skąpiradłem! Zdarzało się, że informował ciocię o planowanej wizycie znajomych, a tu już nie było pieniędzy z tego, co dawał jej na prowadzenie domu. Nie rozumiał, że wszystko kosztuje i cudów nie ma. Moja matka broniła go jednak przed rodziną.

– Był oszczędny, to fakt – mawiała – ale na co szły pieniądze? Tylko na obrazy, starożytności, meble itd. A przecież on to potem wszystko porozdawał. Dostał przecież i Wawel, i Towarzystwo...⁵.

Był szczodry. Miał w domu piękne rzeczy, ale wiele przedmiotów, które gdzieś kupił, wydawał natychmiast. Z rozmów z nim pamiętam, a mówiliśmy *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, że każdy temat go ciekawił. Nie miał w sobie pozy, nie lubił się popisywać. Tylko nie zdawał sobie sprawy z wartości pieniędzy, których ciocia potrzebowała na dom. Pinińscy mieli oczywiście lokaja, kierowcę i jakąś służącą. Płacono im z osobnego funduszu, ale na wydatki „ekstra”, w rodzaju nieprzewidzianej wizyty znajomych, stryj zupełnie nie zwracał uwagi. A przecież tych ludzi należało przyjąć. Nie chodziło o przepych, ale żeby w sposób wytworny podać obiad czy kolację. Do stryja to nie docierało. O Halce Drohojowskiej mawiał:

– Na przykład Halka, śliczna, mądra osoba i wydaje tyle na stroje! Nie może być jednego choćby balu podczas karnawału, by miała ten sam kapelusz! Przecież to szaleństwo!

On sam wołał raczej wydać na jakąś piękną ławę (pisałam o tym na łamach „Meandra”⁶) czy na obrazy, a potem ofiarowywał je dalej.

M. J.: Miał dobre podejście do dzieci?

A. K.: Na ten temat rozmawiałam niedawno z bratem, który ma pamięć do szczegółów. Kiedyś on i Renia (nasza młodsza siostra) złożyli z mamą stryjowi wizytę. Jerzego zaciekały figurki zrobione z brązu. Były tam amorki, erosiki, roz hulane nimfy... Wszystkie tworzyły jedną grupę – bardzo rozbawioną, wręcz rozszalałą. Obok zaś stał nieruchomo mały osiołek. Stryj Leon tłumaczył im: – Widzicie, to jest tak: oni się dobrze bawią, hulają, tańczą, ale wyglądają na niespełna rozumu. Najmądrzejszy z nich jest ten jegomość – tu wskazał na osiołka. Innym razem Renia i Jerzy byli operowani w „Salusie” (była to prywatna klinika we Lwowie) na

⁵ Chodzi o Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych. Część zbiorów Pinińskiego utworzyła po jego śmierci Państwowe Zbiory Sztuki we Lwowie.

⁶ Komornicka, op. cit., s. 215.

ślepą kiszkę. Oboje mieli jakieś podrażnienia, więc mama postanowiła „załatwić” ich hurtowo. Po operacji leżeli tam jeszcze kilka dni, a stryj Leon przyszedł ich odwiedzić. Sam, jak wiadomo, dzieci nie posiadał i uchodził za kogoś, kto nie za bardzo wiedział, jak z nimi postępować. Wydawało się, że nie miał na tym polu żadnego szczególnego charyzmatu. Rodzeństwo było przerażone, gdyż mama wyszła na chwilę, by pozalać jakieś sprawy, a przyszedł stryj. Oboje liczyli na to, że kiedy zauważy brak matki, którą bardzo kochał, powie: – To ja przyjdę kiedy indziej – i sobie pójdzie. Tymczasem on zdjął kapelusz, powiesił płaszcz na wieszaku i się przysiadł. Ponieważ w pomieszczeniu źle działała elektryka, zagaił na ten temat: – Coś tu u was ciemno... – Po czym opowiedział im następującą historię:

– A wiecie, że jak ja byłem bardzo mały, a było to sto lat temu, zamieszkałem z rodzicami w Genewie w maleńkim, przytulnym hoteliku, który jednak był bardzo luksusowy. Wieczorem, w dużym salonie zbierało się w nim mnóstwo ludzi, a to dla jednej tylko chwili. Pomyślcie tylko, wszędzie indziej były jeszcze świece i lampy naftowe! Tymczasem tu, wchodzimy, ciemno, siadamy, a wtedy nagle ktoś dotyka ściany i dosłownie słońce oświetla nas wszystkich! Wówczas po raz pierwszy w życiu zobaczyłem elektrykę.

Opowiedział im to miłym głosem, w sposób bardzo ciekawy. Dzieciom jego opowieść bardzo przypadła do gustu. Trema przed stryjem zniknęła.

Leon Piniński, jak zapamiętałam, mało jadł, ale dla dzieci były u niego zawsze przyszykowane jakieś łakocie. Na zewnątrz nosił się jak „wielka ekscelencja”, ale wewnątrz było skromnie. Wszystkim zarządzała jego służąca, coś na kształt ochmistrzyni. Nie pamiętam już jej imienia. Ona po śmierci cioci Maryni bardzo dbała o stryja. Pamiętam, że zawsze na widok mój i mojej mamy wykrzykiwała: – Ależ się ekscelencja ucieszy! On zawsze tak dużo pyta i troska się o panienkę... – Podobnie („panienka”) mówiła o Lusi, mojej babce, której twarz do dziś doskonale pamiętam.

M. J.: Czy Leon Piniński darzył Panią Profesor jakąś szczególną atencją?

A. K.: Nie wydaje mi się. Wszystkim okazywał uprzejmość, choć prawdziwie uwielbiał moją mamę, Julię z Pinińskich. Co do mnie, mogłam cieszyć się jakimiś względami, bo przecież trzymał mnie do chrztu. Sama jednak nigdy tego nie odczułam w jakiś specjalny sposób.

M. J.: A czy to prawda, że nie wymawiał litery „r”?

A. K.: Troszeczkę grasejował, tak, ale tak miał z natury. To nie maniera. Mówił, powiedzmy, jak Francuzi. A czy pan się interesuje również Taubenschlagiem?

M. J.: Oczywiście!

A. K.: To ja chciałabym coś opowiedzieć. Po zdaniu matury w roku 1938 pojęłam studia na wydziale prawa UJ. Po upływie roku musiałam zdawać egzamin z prawa rzymskiego u Taubenschlaga. Pierwszy rok był bardzo liczny, dlatego egzaminy u niektórych profesorów, którzy przyjmowali pojedynczo, mogły trwać i po parę dni. A Taubenschlag wzywał całą grupę, po kilkanaście osób. Było to okropnie stresujące, grupa siedzi lub stoi, wchodzi profesor i zadaje po kolei pytanie. Jeżeli ktoś nie umie – pała, a pytanie przechodzi na osobę następną. Wszyscy dygotali ze

strachu. Zaczynano od historii prawa, a następnie profesor przechodził do kazusów. Byłam któraś z rzędu. Pytanie do mnie jeszcze nie doszło, ale ponieważ było ono bardzo łatwe, to raz czy dwa razy cichutko podpowiedziałam. Dwa razy krzyknął na mnie gromko: – Nie podpowiadać! – a mnie się wydawało, że mówiłam bardzo cicho... Poza tym widziałam błagalne oczy koleżanki czy kolegi... Kiedy przyszła moja kolej, odpowiedziałam, wszystko poszło dobrze i pomyślałam: „Z pewnością przeszłam”. Następnie profesor prosi o indeksy, a na mój patrzy długo, po czym mówi:

– O, pani ze swojej odpowiedzi należy się piątka, ale za to, że pani dwa razy podpowiedziała – a pani jest wnuczką Leona Pinińskiego! – to byłbym nieuczciwy, gdybym nie obniżył pani stopnia na czwórkę. Komu jak komu, ale właśnie wnuczce Leona – trzeba! On by tak na moim miejscu postąpił! To, co pani robiła, to nie żadna lojalność wobec kolegów, tylko działanie na ich szkodę i rozleniwienie. Takie zachowanie może mieć jak najgorsze skutki! Ma pani u mnie tylko czwórkę.

Siedziałam jak osłupiała. Nosiłam wówczas nazwisko Wolańska i nigdy się nie obnosiłam ze swoimi koligacjami. Co się okazało: niedźwiedzią przysługę wyświadczyła mi koleżanka i przyjaciółka z Jazłowca, Sabina Sumińska, *secundo voto* Jasińska. Ona uczyła się z moją mamą w Jazłowcu u niepokalanek i kiedy ja przed studiami przyjechałam do Krakowa, i obchodziłyśmy z mamą jej dawnych znajomych (byliśmy między innymi w Kossakówce, u pani Agi Potockiej), odwiedziliśmy wtedy również panią Jasińską. Ona miała z Taubenschlagami kontakt, ponieważ jeden z jej synów ożenił się z jakąś żydowską pięknoscią, krewną żony Taubenschlaga. Na jednym ze spotkań towarzyskich powiedziała mu więc:

– Za parę dni będzie zdawać córka mojej przyjaciółki, bardzo zdolna dziewczyna, Anna Wolańska. To jest wnuczka Leona Pinińskiego, więc mam nadzieję, że pan będzie dla niej łaskawy.

Wystarczyło mu coś takiego powiedzieć i widzimy, jaka była reakcja. Niedźwiedzia przysługa... Niemniej również stryj Leon nie uznawał cienia protekcji czy kumoterstwa.

M. J.: Czwórka u Taubenschlaga to bardzo dobra ocena, mimo wszystko, gratuluję!

A. K.: Cooo?! Ja byłam naprawdę obkuta, chodziłam na wszystkie wykłady!!! Dajmy już temu spokój... Studia te wspominam dobrze. Był czas również na dancingi i inne rozrywki. Mieszkałam u państwa Siedleckich. Ona była z domu Stachiewicz, córka malarza⁷, a on, profesor Michał Siedlecki, pracował na uniwersytecie. Podczas aresztowania profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1939 roku, Niemcy skopali go na schodach. Zmarł następnie w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen.

M. J.: Wykorzystam sytuację i jeszcze raz zapytam o prawo rzymskie oraz o Taubenschlaga. Pani profesor go pamięta...

A. K.: Naturalnie, że go świetnie pamiętam! Przede wszystkim nie spóźnił się w życiu o jedną minutę. Kiedy wchodził, wszyscy powinni już być na swoich

⁷ Piotr Stachiewicz (1858–1938) – malarz i ilustrator.

miejskach. Wykład zgodnie z planem rozpoczynał się o 8.15, więc Taubenschlag wchodził o 8.14, a za nim woźny zamykał drzwi i nikt spóźnialski nie miał prawa uczestniczyć w zajęciach. Zawsze, co było zabawne, mamrotał coś pod nosem. Jeżeli na sali pojawiły się jakieś szelesty, zaczynał bezgłośnie poruszać ustami. Po chwili, kiedy sala zamierała, oświadczał: – No, to jeżeli nie będę już państwu przeszkadzał, przechodzimy do wykładu – po czym zaczynał już mówić normalnie. Zapamiętałam te wykłady jako bardzo ciekawe.

M. J.: A po wojnie?

A. K.: Po wojnie jego pomocnikami byli Henio Kupiszewski i Józio Modrzejewski, który wyjechał na stałe do Francji. Przyjaźniłam się z Heniem, który przychodził do nas nieraz na brydża. To był taki rycearz bez skazy, szalenie surowy i bezkompromisowy. Każdy wiedział, że prośenie go, by potraktował kogoś ulgowo przy egzaminie, nie miało sensu. Nie karał, jak Taubenschlag, ale był nieustępliwy. Bardzo go lubiłam.

M. J.: A jak profesor Kupiszewski trafił w ogóle na tego brydża?

A. K.: Prywatnie. Poznałam go gdzieś i zaprosiłam. Mój mąż świetnie grał. Ja zresztą też, ale nie lubiłam damskich brydżów, gdyż panie tylko gadały o ciuchach bądź wymieniały plotki. A ja lubiłam rzeczowo – skupić się na grze, rozgrywce, licytowaniu! Tymczasem jeżeli jedna pani powiada po francusku – Gdybym wiedziała, że trefl to nie atu... – no to jest to przecież koszmar! Ale do rzeczy: myśmy zawsze grali o pieniądze, ale bardzo niewielkie. Gra na śliwki nas nie interesowała. Graliśmy tanio, nikomu to nie przeszkadzało, ale Kupiszewski po pierwszej grze był szczerze zdumiony, dlaczego nie za darmo. Kupiszewscy wygrali wówczas parę złotych, które chciałam im wypłacić przy wyjściu. Byli przerażeni. – Przecież myśmy nie grali na pieniądze! – bronili się. Potem śmialiśmy się z tego, a on sam lubił wspominać to wydarzenie w słowach: – No tak, wyszedłem na jakiegoś parafianina, proboszczunia, który gra tylko o dobre słowo.

M. J.: Henryk Kupiszewski to postać pomnikowa w środowisku polskiej romanistyki. W przypadku Pani Profesor prawo przegrało jednak z filologią klasyczną.

A. K.: Ja od razu chciałam iść na klasykę, ale mój ojciec powiedział:

– Nie! Zanadto bujasz w obłokach. Najpierw zrób prawo, a później, jeżeli będziesz chciała, zrobisz filologię klasyczną. Masz dużo czasu.

To miało sens. Nie było wówczas przecież problemów finansowych, które mogły mi przeszkodzić w studiowaniu dwóch kierunków, jednego po drugim. Poza tym takie było życzenie mojego ojca, a ja go szalenie kochałam i ceniłam. Był to najcudowniejszy człowiek na świecie! Tymczasem po roku, ponieważ wybuchła wojna, musiałam przerwać studia prawnicze. Zaraz po wojnie wyszłam za mąż i urodziłam czwórkę dzieci. Niemniej już w 1946 roku, kiedy jeszcze siedzieliśmy po uszy w AK, wróciłam na UJ. Tym razem jednak już na filologię klasyczną.

M. J.: Wojna musiała być dla Pani Profesor trudnym doświadczeniem.

A. K.: Miałam sporo szczęścia, gdyż często bywało bardzo niebezpiecznie. Pamiętam, jak ktoś doniósł, że w naszym domu na Dębnikach znajdują się skarby

okocimskie. Niemcy zrobili rewizję nastawieni na szukanie kosztowności, a nie materiałów konspiracyjnych. W pewnym momencie jeden z nich wyciągnął spod dużego stołu w jadalni plik papierów i pyta po niemiecku: – Co to jest? – A ja, zupełnie jakby nigdy nic, odrzuciłam je niedbale na stół, powiedziawszy: – A, to stare kwity rachunkowe mojej teściowej. – One tam zostały, ale on w ogóle się tym dalej nie interesował. To były akowskie ulotki... Wtedy jednak w biurku mojego teścia, Stefana, znaleźli ten nieszczęsny rewolwer. Dostał go z okazji zdania matury od swojego starszego brata, Władysława. Był to egzemplarz staroświecki, bez naboju, ale... sprawny. Aresztowanie nastąpiło natychmiast. Zaraz go zabrali. Sytuację tę ze szczegółami opisał Łukasz Komornicki w książce zatytułowanej *Willa pod Minerwą*⁸.

M. J.: Pozwolę sobie zapytać o moją Alma Mater.

A. K.: Z KUL-u mam najlepsze wspomnienia. Przecież dojeżdżałam na KUL przez sześć lat! Nocowałam jedną noc i wracałam. Prowadziłam zajęcia, ale dla filologów klasycznych. Z KUL-em nie wiązał mnie etat, ale umowa o dzieło. Myślałam, że będą mi płacić ubezpieczenie. Kiedy przesłam na emeryturę, dowiedziałam się, że nie płacili.

M. J.: No cóż, *Deo et Patriae*...

A. K.: Amen. Ale merytorycznie KUL to zawsze była pierwsza klasa. Wspominam panią Leokadię Małunowiczównę, panią Janinę Niemirską-Pliszczyńską, księdza Henryka Wójtowicza... Wszyscy niezwykle mili i uczynni, również osoby pracujące w kasie i w administracji. Ciepło myślę także o Częstochowie.

M. J.: Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę.

*Z profesor Anną Komornicką rozmawiał Maciej Jońca
jonca@kul.lublin.pl*

ARGUMENTUM

Profestrix Anna Komornicka narrat Matthiae Jońca de suo patruo, Leone Piniński (1857–1938), viro in re publica versato, picturae peritissimo collectore et professore iuris Romani, et de nonnullis aliis hominibus, quos noverat, eventibusque suae vitae.

⁸ Ł. Komornicki, *Willa pod Minerwą. Historia domu rodziny Komornickich na Krakowskich Dębnikach*, Collegium Columbinum, Kraków 2015.